

CZUJNOŚĆ

Z Mają KOMOROWSKĄ rozmawia Anna KAROŃ-OSTROWSKA

Anna Karoń-Ostrowska: *Dlaczego nie lubisz opowiadać o czasach stanu wojennego, o tym, jak pracowałaś na Piwnej, jak jeździłaś po miejscach internowania, o całej swojej działalności opozycyjnej, społecznej w czasach komunizmu?*

Maja Komorowska: *Ponieważ mam wrażenie, że opowiadanie o tym coś nam samym odbiera. Nawet jeśli udało się nam, całej wielkiej grupie ludzi w tych trudnych czasach zrobić coś dobrego, to nie po to, żeby teraz odcinać od tego kupony i zamieniać to w opowieść o sobie. W tym wspólnym, zbiorowym wysiłku było jakieś wielkie dobro. Wszyscy robiliśmy tyle, ile byliśmy w stanie. Może to, że byłam już wtedy osobą rozpoznawaną, powodowało, że moje jeżdżenie do więzień było w jakimś sensie łatwiejsze, o tym się więcej mówiło, ale przecież ludzie, którzy zbierali leki, pakowali paczki, organizowali pomoc prawną i materialną dla internowanych i ich rodzin, nie pracowali mniej. Ludzie dzielili się tym, co mieli, i tym, co umieli. Wtedy współdziałali ze sobą ludzie wszystkich zawodów – lekarze, prawnicy, informatycy, kierowcy, aktorzy. To dobrze, że wtedy mogłam być wśród tych wszystkich wspaniałych ludzi, że mogłam doświadczyć tego czasu. Oczywiście, aby móc rozpocząć tę pracę, trzeba było podjąć jakąś podstawową decyzję, trzeba było powiedzieć „tak”. Po ogłoszeniu stanu wojennego próbowaliśmy rozszyfrować siatkę więzień, a potem zaczęliśmy z paczkami, z lekarstwami, z listami jeździć do miejsc internowania. Nie myślałam wtedy o niebezpieczeństwie, ale o tym, że nie może się nie udać, i to dawało siłę. To było jakoś oczywiste, że trzeba robić, co można, co się da. Dopiero dzisiaj, kiedy jestem blisko miejsc internowania, do których wtedy jeździłam, uświadamiam sobie, że to było trudne, niebezpieczne. Wtedy takie myśli odsuwało się od siebie. Byłam częścią wielkiej całości i mam poczucie, wracając do Twojego pytania, że tej całości nie wolno naruszyć, opowiadając jedynie o sobie. Wtedy coś się zafatšowuje.*

Im jestem starsza, tym lepiej rozumiem, że jeśli nawet uda się nam zrobić coś dobrego, to trzeba się pilnować, żeby o tym za dużo nie mówić, bo inaczej tracimy coś nienazwanego, a ważnego.

W czasie stanu wojennego i później robiłam to, co do mnie należało. Teraz, kiedy po tylu latach jesteśmy pytani o tamten czas... tworzy się jakąś historię, dawane są świadectwa o tamtych czasach. To, co robiliśmy, zostało uznane za dobre, odważne, szlachetne. I właśnie teraz trzeba ogromnie uważać, wspominając, opowiadając o tym, co się wydarzało, czego byliśmy świadkami i uczestnikami, żeby nie przecenić swojej roli, nie przeakcentować jej, bo ciągle trzeba pamiętać, jak mówiłam, że to był zbiorowy wysiłek i wspólne dobro tworzyliśmy.

A. K.-O.: *Czy robiłaś zapiski? Czy może notowałaś fragmenty rozmów z internowanymi albo jakieś najbardziej poruszające Cię zdarzenia z tych wypraw do więzień?*

M. K.: *Nie, to mi wtedy nawet nie przychodziło do głowy! Jeździłam najwięcej z Przemkiem Burchardem, który tak barwnie opowiedział o tych naszych „jazdach” w filmie Michała Bukojemskiego o Komitecie na Piwnej¹. Jeździłam też z Markiem Komorowskim, ze Staszkiem Czartoryskim – bez nich byłoby to wszystko niemożliwe. Przemek przyszedł do nas, do św. Marcina, i powiedział, że ma samochód do dyspozycji, i jakoś zupełnie spontanicznie podjęliśmy decyzję: „No to jedziemy...”. I tak się wszystko zaczęło. Na Piwnej z dnia na dzień coraz bardziej się „panoszyliśmy”. Zaczęliśmy pracę zbierania darów w małym pokoiku w klasztorze, a potem zajęliśmy cały korytarz i wszystkie możliwe wolne pomieszczenia. Siostry traktowały ten nasz nieustanny harmider jako coś normalnego, jakbyśmy wcale nie zakłócali ich trybu życia i nie wprowadzali chaosu w cichy, harmonijny świat. Były naprawdę niezwykle, tego się nigdy nie zapomni. Biskup Bronisław Dembowski, wtedy rektor kościoła św. Marcina, nam przewodniczył.*

A. K.-O.: *Chciałabym, żebyśmy porozmawiały o bojkocie telewizji przez aktorów w stanie wojennym. Kiedy patrzy się z perspektywy, widać wyraźnie, że wielu z nich zapłaciło za to jakąś cenę, przestali być obecni w środkach masowego przekazu, niektórzy już nigdy właściwie nie wrócili do filmu i na scenę. Jak wspominasz tamten czas?*

M. K.: *To było dla nas wszystkich dość naturalne. Nasi przyjaciele, znajomi siedzieli w więzieniach. W „Dziennikach” telewizyjnych prezenterzy występowali w mundurach. Mieliśmy poczucie, że nie chcemy w tym uczestniczyć, pokazywać się na tym samym ekranie. To było spontaniczne. Poza decyzją moralną, którą większość środowiska aktorskiego podjęła wspólnie, była w tym też Herbertowska „kwestia smaku”...*

Kiedy patrzy się na sprawę bojkotu aktorów z perspektywy historycznej, tych kilkunastu lat, mam wrażenie, że było to niezwykle – oto ci, których nazywa się potocznie „komediantami”, stawiają taki opór systemowi zakłamania, całej

¹ Film dokumentalny *Komitet na Piwnej* – opowieści wyemitowano 12 grudnia 2005 roku w programie drugim Telewizji Polskiej.

tej trudnej sytuacji stanu wojennego... Pamięć o tamtym zdarzeniu jakoś oczyszcza nasze środowisko. Zresztą trzeba przecież powiedzieć, że aktorzy zawsze chętnie odpowiadali na różne ważne inicjatywy, jak zbiórka na zabytki Cmentarza Powązkowskiego czy dużo wcześniej, jeszcze kilka lat przed stanem wojennym, Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej organizowane w wielu miastach całej Polski.

A. K.-O.: No właśnie, bardzo żał tych wspaniałych spotkań w czasie Tygodni Kultury, przychodziły na nie zawsze tłumy...

M. K.: Taki był czas. Staralam się zawsze, żeby moje wieczory były organizowane w salach parafialnych albo w dolnych kaplicach, ale nie zawsze było to możliwe, bo ludzie się po prostu nie mieścili. Natomiast bardzo mnie martwi, kiedy się mówi, że wtedy było z nami tak dużo ludzi, przychodzili wszyscy na Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej – a teraz zostali tylko nieliczni. To jest zupełnie naturalne, przychodzili wtedy do Kościoła różni ludzie – wierzący, poszukujący i tacy, którzy uważali siebie za niewierzących. Kościół był jedynym miejscem spotkania, miejscem, gdzie można było mówić prawdę. To było wspaniałe i trzeba to traktować jako dar, który od nich otrzymaliśmy, a nie – mieć pretensje i żał, że to się zmieniło. Ci ludzie odeszli do miejsc, które są i zawsze były im bliższe, tylko że wtedy nie mogli w nich być. To nie jest żaden odwrót od Kościoła.

A. K.-O.: Czy działalność społeczna była Ci zawsze bliska?

M. K.: Tak byłam wychowana, że jeśli jest to możliwe, trzeba ludziom pomagać, jak coś się ma, to trzeba się tym dzielić, nawet jeśli jest to coś bardzo małego. Dlatego włączałam się w proponowane mi działania społeczne. Między innymi zbierałam pieniądze na hospicjum, pracowałam z Jackiem Kuroniem w fundacji Pomoc Społeczna SOS, zbierałam od początku pieniądze na zabytki Powązek: ta wspaniała inicjatywa Jerzego Waldorffa jest kontynuowana w Warszawie w czasie Zaduszek. Przez dwie kadencje brałam też udział w pracach Prymasowskiej Rady Społecznej.

A. K.-O.: A „homo politicus” wyzwolił w Tobie dopiero stan wojenny?

M. K.: Chyba można powiedzieć, że naprawdę polityką zainteresowałam się w stanie wojennym, zaangażowałam się w działalność opozycyjną, i to trwało aż do roku 1989. A potem, kiedy zaczęła się kształtować wolna Polska, w okresie transformacji, trudno było nie chcieć przyglądać się temu z bliska. To było dla mnie, dla nas wszystkich, ogromnie istotne – co dalej, jak się to będzie kształtować, dokąd zmierzamy, jak się nam to wszystko uda, czy się powiedzie? Proponowano mi wtedy kandydowanie do senatu i był moment, kiedy wahałam się, czy nie przyjąć tej propozycji. Było to wielkie wyzwanie i zaszczyt. Jednak po długim namyśle i rozmowach z moim synem i z przyjaciółmi doszłam do wniosku, że nie mogę podjąć takiej odpowiedzialności. Bardzo angażuję się w prace, które podejmuję, nie potrafię robić kilku rzeczy jednocześnie, a każdy człowiek powinien zajmować się przede wszystkim tym, co potrafi najlepiej. Ja miałam

swój zawód, swoich studentów w Akademii Teatralnej, swoje zaangażowania w sprawy społeczne, nie mogłam tego wszystkiego zostawić.

A. K.-O.: Gdybym Cię zapytała, jaka jest prawdziwa Twoja opowieść o Tobie, czy odpowiedziałabyś mi, że jest to opowieść o aktorce, która w „wolnych chwilach” stara się pomagać ludziom i robić coś dobrego?

M. K.: To bardzo trudne pytanie. Patrząc z zewnątrz, można by tak powiedzieć. W moim życiu wszystko układało się inaczej, niż planowałam. Nigdy nie myślałam, że będę aktorką grającą w teatrze i w filmie. Myślałam o medycynie, o psychologii, pracowałam w szpitalu. W ciągu wolnego roku między maturą a wyborem studiów, na które namówili mnie rodzice, uczyłam mówić głuchoniemego chłopca, jeździłam do Lasek do dzieci niewidomych. Chodziłam na zajęcia baletowe do Domu Kultury na Elektoralnej w Warszawie, pracowałam nad wierszem. Zetknęłam się też z teatrem lalek. Trochę śmiesznie to brzmi, ale nie wiem, co byłoby ze mną dalej, gdyby nie Jasiek – lalka-jawajka, którą wypożyczyłam z teatru i przynosiłam do szpitala na oddział chirurgii dziecięcej. Bardzo pomógł mi Jan Wilkowski, ówczesny dyrektor Teatru Lalka, który wysłuchawszy moich wątpliwości co do wyboru studiów i zawodu, powiedział mi o istnieniu wydziału lalkarskiego w Szkole Teatralnej w Krakowie. Byłam bardzo nieśmiałą osobą, myślałam, że będę grać dla dzieci, że będę stać za parawanem z lalką i opowiadać historie, bajki. Taki był wtedy mój pomysł na życie. Stało się inaczej. Ktoś może powiedzieć – przypadek, ja raczej powiedziałabym, że to Opatrzność. Poznałam ludzi, którzy we mnie uwierzyli. Kim byłabym teraz, gdyby nie spotkanie z Jerzym Grotowskim, a potem... Jerzy Jarocki, Krzysztof Zanussi, Andrzej Wajda, Edward Żebrowski, Krzysztof Kieślowski, Tadeusz Konwicki? To byli ludzie, dzięki którym mogłam odkrywać nowe przestrzenie. Opowiedziałam o tym dokładnie w rozmowach z Barbarą Osterloff w książce *Pejzaż*².

Oczywiście, ja też musiałam wyjść naprzeciw. W swoim życiu, już w dzieciństwie i we wczesnej młodości, zetknęłam się z cierpieniem, z chorobami najbliższych, towarzyszeniem im przy odchodzeniu. Ten bagaż miałam w sobie. To, co przeżyliśmy, nasze doświadczenia na pewno mają wpływ na naszą twórczość.

A. K.-O.: Bardzo wyraźnie to widać w tym, co mówisz w rozmowach z Barbarą Osterloff. Ale przecież samo doświadczenie nie wystarczy, prawda?

M. K.: Oczywiście, istnieje coś takiego jak zdolności, talent... Ale myślę, że równie ważna jest pracowitość. Zawsze mówię moim studentom w Akademii Teatralnej, że nigdy nie wiadomo, jak to jest z talentem – to jest dar. Ale możemy się starać, zrobić wszystko, co możliwe tu i teraz. „Staranie się” – to moje ulubione słowo. Czy się starałam – tyle można o sobie wiedzieć. Czy się udało – to już inna sprawa, ale dobrze jest wiedzieć, że zrobiło się wszystko, co w danym momencie było można.

² Zob. B. Osterloff, *Pejzaż. Rozmowy z Mają Komorowską*, Errata, Warszawa 2004.

A. K.-O.: Czy takie myślenie miało wpływ na Twój sposób bycia aktorką i na Twoje aktorstwo?

M. K.: Nauczyłam się cenić konkretne, wymierne działania. Mogłam tego doświadczyć już podczas pracy w szpitalu – dobrze pościelone łóżko czasami może dużo znaczyć. Wiele by o tym można mówić, w każdym razie w mojej pracy w filmie i w teatrze starałam się sprostać konkretnym zadaniom. Jak trzeba było jeździć konno, to wiedziałam, że muszę się tego po prostu nauczyć, tak samo jak skakać na batucie, wykonywać inne ewolucje gimnastyczne czy wygłaszać w filmie trudne i długie monologi po niemiecku, chociaż nie znałam tego języka. Chodzi o to, żeby dać z siebie to, co jest możliwe, i właśnie starać się i jakoś pomnażać, rozwijać talenty, które się dostało, przecież nie tylko dla siebie. Uświadomienie sobie tego przychodzi z wiekiem.

A. K.-O.: Co zatem rozumiałaś? Co wydaje Ci się teraz naprawdę ważne?

M. K.: Rozumiałam, że życie wymaga ciągłej uwagi, cierpliwości do siebie i do innych, nasz czas wymaga czujności, żeby go zrozumieć, żeby wyczuć moment, sytuację, w której jesteśmy. Zdarza się, że trzeba stanąć, przerwać tę naszą codzienną krzątaninę. Nie dać się uwieść czasowi, sukcesowi, aktywności. Trzeba wiedzieć, kiedy się zatrzymać, kiedy zrezygnować z czegoś nawet bardzo interesującego, odrzucić nęcącą propozycję, bo w danym momencie nie ma się nic więcej do powiedzenia. To jest na pewno bardzo trudne i często się to nie udaje.

A. K.-O.: Ty przecież to właśnie zrobiłaś. Było to zresztą dla wielu ludzi niezrozumiałe, po sukcesie przedstawienia dyplomowego *Opowieści Hollywoodu* Christophera Hamptona, mając propozycje reżyserii i dalszych prac – wzięłaś urlop bezpłatny i na rok zawiesiłaś swoją pracę w Akademii Teatralnej.

M. K.: Wtedy tak czułam. Uważałam, że jest to konieczne.

A. K.-O.: Myślę jeszcze o jednym wymiarze Twojego aktorstwa i Twojej obecności, o którym do tej pory nie mówiliśmy – o spotkaniach z ludźmi, w czasie których mówisz wiersze. Świadomie nie używam tu terminu „wieczory poezji”, bo wiem, że go nie lubisz. Są to bardzo szczególne spotkania, kilka razy na przestrzeni lat uczestniczyłam w nich i mam wrażenie, że właśnie w nich udaje się połączyć wszystkie Twoje dary. Jest w nich i Twoja uwaga, o której tak pięknie mówiłaś przed chwilą, i czujność, i umiejętność bycia z drugim człowiekiem poprzez coś, co możesz wypowiedzieć najbardziej od siebie – wiersze, które sama wybierasz i przygotowujesz, bo chcesz się nimi i mądrością w nich zawartą podzielić w danym momencie z konkretnymi ludźmi.

M. K.: Coraz częściej mam poczucie, że jestem w takim momencie życia, że właśnie spotkanie się z ludźmi i mówienie wierszy jest tym, czego nie mogę zaniedbywać. Muszę się pilnować, żeby zawsze, kiedy jest to możliwe, odpowiadać na zaproszenia, żeby chciało mi się wsiąść do pociągu i pojechać. W czasie takich spotkań nie tylko ja coś daję, ale bardzo wiele czerpię z tych, którzy chcieli przyjść, posłuchać mnie, porozmawiać, podzielić się swoimi myślami czy

przeżyciami. Bardzo szybko, pewnie dlatego, że jestem skupiona, widzę tych ludzi, czuję, co się z nimi dzieje. Zdarza mi się odpowiadać na pytania, zanim one jeszcze padną. Takie nawiązanie kontaktu jest wysiłkiem, bo trzeba się otworzyć, i muszą to zrobić obie strony. Udało mi się chyba znaleźć taki sposób, że nie jest to samo mówienie wierszy. Opowiadam o różnych rzeczach i przez to przygotowuję ludzi do wystuchania tego, co mam do powiedzenia wierszem. Wydaje mi się, że nie można tak wiersza powiedzieć ni z tego, ni z owego, że on musi pojawić się w jakiejś przestrzeni oczekiwania. Chodzi mi też o to, żeby nie „recytować” wierszy, a mówić je od siebie, przekazać myśl i poprzez to nawiązać z ludźmi kontakt, jakoś się z nimi porozumieć co do ważnych dla nas spraw.

Myślę sobie, że gdybym miała do wyboru: zagranie nawet dużej roli w sztuce, która daje mi możliwość zaistnienia na scenie, ale nie ma w niej nic istotnego, nic nie niesie i mnie samej nie przekonuje do końca, albo spotkania z ludźmi i mówienie wierszy, to wybrałabym na pewno wiersze.

A. K.-O.: Mówimy o konkretnych, koniecznych działaniach, o uwadze, czujności, o tym, co nazywasz „staraniem się”. Ale przecież często się zdarza, że mimo to nie udaje się nam, nie potrafimy sprostać życiu...

M. K.: Przypomina mi się rozmowa z zakonikiem, z którym jechałam do Częstochowy na spotkanie. Zapytałam go, jak to jest – cały dzień wypełniony obowiązkami i sprawami tylu ludzi – jak Ojciec wieczorem z tym całym bagażem daje sobie radę? Odpowiedział mi po chwili z uśmiechem: „Mówię: Panie Boże, ja zrobiłem swoje, teraz Twój ruch”. Zapamiętałam to jego przekomarzenie się z Bogiem.

No tak, ale ile trzeba zrobić, ile dać z siebie, żeby móc tak powiedzieć, mieć do tego prawo...